

„... puszczam się w rozmowę z kapitanem. Kapitan – smagły, krępy Holender, ma pod swoimi rozkazami 73 ludzi załogi, w tym 19 oficerów.

- Czy pan czytywał Conrada? – zaczynam rozmowę.

- Czytałem, ale mnie irytuje taki pan, co siedzi przy kominku i zachwyca się morzem.

- Ale Conrad długie lata sam był marynarzem.

- To niechby wtedy pisał, kiedy nim był; ciekawym co by napisał. To, co robi teraz, jest wyławianiem z brudnej i mdłej lury marynarskiej tłustych kąsków wspomnień. To jest każenie rzeczywistości.

- Uważa pan swoje rzemiosło za aż tak nudne?

- Nie ma obrzydliwszej profesji. Ani żony, ani rodziny, ani przyjaciół. Człowiek jest przykuty do ludzi sobie narzuconych, zesłany na ten podły handlowiec, niby maleńką wysepkę.”

„W kościołach Meksyku” – Melchior Wańkowicz

To było w Gwatemali, na karaibskim wybrzeżu, w porcie Santo Tomas de Castilla. Minęła północ i w okolicy otwarty był jeden jedyny bar. Właściciel robił porządki w lodówce z piwem, a dwie barmanki zamiatały salę. Huczała muzyka. W całej knajpie było nas czterech: dwóch strażników z parku narodowego Cerro San Gil, Marek i ja.

Marek był solidnie zrobiony już wtedy, gdy schodził po trapie. Było koło północy, a ja wracałem akurat z rowerowej wycieczki po mieście. Na mój widok Marek uniósł swoje krótkie, ale potężne ramiona i bardziej stwierdził, niż zapytał, że idziemy na balety. Nie przyjmował wyjaśnień, że o ósmej do roboty i że w sumie, to nie chciało mi się ani pić, ani tym bardziej tańczyć. Uwziął się i już. Zostawiłem więc rower i poszliśmy szukać knajpy. Znaleźliśmy ją kilkaset metrów od bramy portu.

Strażnicy z parku narodowego mieli po dwadzieścia kilka lat. Tak mi się przynajmniej wydawało, bo byli Metysami, którzy nawet po czterdziestce często nadal mają młodzieńcze twarze. Typowo metyskie mieli nie tylko twarze, ciała też, byli smagli, grubi, niscy i bez zarostu. Popijaliśmy absolutnie przeciętne, lokalne piwo, a oni pokazywali swoje zdjęcia na komórkach. Były to niemal wyłącznie zdjęcia z pracy, na których podobni do nich strażnicy pozowali w różnych konfiguracjach z bronią na tle lasu. Byli dumni z faktu, że na pierwszy rzut oka wyglądają jak żołnierze. Niemal wszyscy mieli też dobrze dobrane okulary przeciwsłoneczne i gdyby nie mało atletyczne sylwetki, to od biedy można by niektóre z tych zdjęć wykorzystać na do promocji gwatemalskiego filmu o przygodach Jose Rambo. Nie zapamiętałem imion moich współbiedniaków, bo obydwaj były typowo majańskie. Połowa obywateli Gwatemali to Majowie, a druga połowa to Metysi, a różne języki majańskie są w powszechnym użyciu obok hiszpańskiego. Imię jednego z nich brzmiało prawie jak Antonio, a drugiego było po prostu trudne

do zapamiętania i niepodobne do niczego. Antonio z dumą pokazywał mi zdjęcie, na którym stoi na pniu ściętego drzewa z M-16 trzymany w zgiętej ręce, z lufą skierowaną do nieba. Wyglądał na nim jak licealista, który odłożył nieco kieszonkowego, kupił plastikową pukawkę i poszedł z kolegami na mecz ASG. Tyle, że on nie był licealistą, a giwera była prawdziwa. Biła z niego duma. Stawiam, że na to zdjęcie poleciała już niejedna Carmen, Gloria albo Esmeralda.

Marek odpalał jednego od drugiego i koniecznie chciał żeby zagadał barmankę, bo chciał z nią zatańczyć. Nie miałem zamiaru świecić za niego oczami. Wstał więc, uśmiechnął się szeroko pokazując brakującą jedynekę i zaprosił barmankę do tańca szarmanckim gestem i czułą polszczyzną. Barmanka zawahała się przez moment, patrząc na niego niepewnie. Wyglądała tak, jakby nie wiedziała co myśleć o jego jedynce, tej brakującej. To była dość świeża sprawa, konkretniej sprzed kilku dni. Staliśmy wtedy na redzie przed wejściem do sąsiedniego Puerto Cortes w Hondurasie. Byliśmy po trzytygodniowym przelocie z Rygi. Wszyscy tak bardzo się cieszyliśmy, że następnego dnia wejdziemy do portu i pójdziemy w miasto, że wyciągnęliśmy ostatnie flaszki i zrobiliśmy sobie balangę w kilku chłopca. Marek był narąbany jak bąk, więc odprowadziłem go do kabiny. Kiedy chwycił klamkę od swoich drzwi spojrzał na mnie poważnie, ale z głupawym uśmiechem i powiedział, że pięknie dziękuje i że sobie dalej poradzi. Następnego dnia przyszedł do mesy na śniadanie bez górnej jedynki. Nie pamiętał końcówki imprezy, tego jak odprowadziłem go do kabiny, ani tym bardziej tego jak stracił ząb. Rano znalazł go jednak na podłodze, więc pewnie się wywalił. Barmanka po sekundzie zawahania uśmiechnęła się serdecznie i odłożyła miotłę. Przez chwilę tańczyli w stylu polskim weselnym. Piękny to był widok. Marek, niski i bardzo krępy, na kaczych nogach z włosami na szyi i ona wyższa od niego, smukła, zmęczona dniem i coraz bardziej rozbawiona sytuacją.

Antonio sycił się swoimi zdjęciami z bronią, a ja próbowałem wypytać tego drugiego po jaką cholere strażnikom leśnym karabinki szturmowe. Ciężko się z nim gadało, bo używał lokalnego dialektu hiszpańskiego, wtrącał słowa po majańsku i był zbyt pijany, by reagować na moje prośby, żeby mówić wolniej. Dowiedziałem się tyle, że w dżungli rosną rzadkie i cenne gatunki drzew, które są nielegalnie wycinane z parku narodowego. Dlatego na zdjęciu-przynęcie na Carmen czy Esmeraldę, Antonio stał na pniaku.

- Kobiety też są pod waszą ochroną? – Zapytałem patrząc jak owłosione przedramię Marka kołysze się na cieniutkiej talii barmanki. Trudne-do-zapamiętania-imię podążył za moim wzrokiem, uśmiechnął się pod nosem i pociągnął piwa z puszki. – Nie, wy jesteście w porządku. Kulturalni *Polacos*.

Właściciel chrząknął znacząco. Barmanka jednym susem dopadła miotłę, a Marek uklonił się dwornie i ciężko opadł na krzesło. Zamówiliśmy ostatnią kolejkę, a rozochocony tancerz zasugerował, żeby łąpać taryfę i jechać na disco. Nie miałem najmniejszej ochoty na żadne dyskoteki. Santo Tomas i sąsiednie Puerto Barrios nie wyglądały na najlepsze miejsca dla podpitych *gringos* do snucia się o drugiej w nocy. Marek nalegał jednak, żeby zapytał chłopaków, gdzie jest jakieś disco. Nasi kompani zgodnie orzekli,

że w Santo Tomas disco w tygodniu nie ma, że trzeba by do samego Puerto Barrios jechać. W grę wchodziła ośmiokilometrowa wyprawa taksówką, ale tego akurat Markowi nie powiedziałem. Oznajmiłem mu tylko, że musielibyśmy jechać do innego miasta. Poddał się i zmarkotniał i dał się zaciągnąć na statek. Odstawiłem go pod drzwi kabiny, zapytałem, czy tym razem sobie poradzi. Skinął twierdząco. Później podczas przeprowadzania operacji zdejmowania spodni wywalił się i trzasnął głową o koję. Guz nie był zbyt duży i akurat nabił go sobie w miejscu, gdzie jeszcze rosły mu włosy. Każda dobra historia kończy się błyskotliwą pointą. Ta nie.

Podobnych nocy było w mojej morskiej karierze wiele. Wielokrotnie więcej było jednak takich, podczas których nie działo się absolutnie nic. Życie na statku jest monotonne, wypełnione rutyną i powtarzalnymi czynnościami. Łatwo jest po latach wyciągnąć z niego tłuste kąski i snuć opowieści o egzotycznych krajach i niesamowitych przygodach. Tą szarą zupą marynarskiej codzienności trudno jest kogokolwiek zainteresować. Nie mniej jednak postanowiłem spróbować.

Wiele jest książek pisanych przez doświadczonych kapitanów, którzy oddali morzu dziesiątki lat i widzieli setki portów. Moja jest inna, bo morzu oddałem raptem cztery lata. Dość by poczuć słony smak, ale nie dość, żeby od niego oszaleć. Chciałbym pokazać jak wygląda życie marynarza z punktu widzenia kogoś, kto nim żył nim i nie zdążył zapomnieć jak wyglądało to na suchym lądzie. Przy okazji uprzejmie ostrzegam, że prawdziwi marynarze, tacy z krwi i kości, a nie filmów i powieści, zachowują się dokładnie tak samo jak każda inna grupa zawodowa złożona niemal wyłącznie z mężczyzn, którzy spędzają za dużo czasu ze sobą nawzajem, a zbyt mało z kimkolwiek innym. Są więc wulgarni, mają proste potrzeby i niewyszukane rozrywki, a ja portretuję ich takimi jakimi są, a nie takimi jakich chcieliby ich widzieć inni. To nie jest lektura dla osób wrażliwych na wulgarny język i prostackie żarty, za to poszukujący prawdziwego obrazu, w jego niewyszukanej i surowej wersji powinni być zadowoleni.

Przez całą karierę prowadziłem dziennik, bo wiedziałem, że ta książka kiedyś powstanie. Część z moich kolegów z pracy wiedziała, że zamierzam ich sportretować i tych przedstawiam z imienia i nazwiska. Pozostali nie chcieliby bym ich opisywał, dlatego pozmieniałem im imiona i pewne szczegóły dotyczące ich życia, tak by pozostali anonimowi, jednak wszystkie historie są prawdziwe. Dlatego nawet jeśli Marek w rzeczywistości nosi inne imię, to jego górna jedyńka naprawdę padła ofiarą balangi w Santo Tomas de Castilla.